

Na dnie kieszeni

Wszyscy=bogowie we krwi , rez. Grzegorz Grecas, Teatr Układ Formalny we Wrocławiu

**HENRYK MAZURKIEWICZ**

Doktor nauk humanistycznych, krytyk teatralny, członek redakcji portalu „Teatralny.pl”. Piszę dla

A A A



Cóż, żyjemy w czasach, kiedy, pisząc o spektaklu na motywach *Władcy much*, nie od rzeczy będzie zauważyć, że chodzi o znaną powieść angielskiego noblisty Williama Goldinga i podana wyżej pisownia jest prawidłowa, a nie o *Włatcę móch*, czyli polski serial animowany dla dorosłej publiczności. Choćaż po obejrzeniu *Wszyscy=bogowie we krwi* Teatru Układ Formalny stwierdzam, że inspiracje twórców nie są już dla mnie tak oczywiste.

Tworzony we Wrocławiu serial słynął na przykład z wybitnej ilości wulgaryzmów, słówek na k...,

przekleństw i innych kwiatuszków zakazanych na pięknej i kolorowej polance ojczyzny-polszczyzny. W spektaklu Grzegorza Grecasa tego wszystkiego też na niejeden okazały bukiet starczy. Jest w nim całkiem wlatcomuchowa scena, podczas której aktorzy komunikują się między sobą za pomocą bekania. Dokładnie tak. Taki beko-grammelot. Wymagający, należy zaznaczyć, niezłej wprawy i zaangażowania. Mam na myśli nie tylko zaangażowanie organów wewnętrznych. Przedstawienie, podobnie jak serial, podzielone zostało na odcinki-lekcje. Tylko że w wypadku tego pierwszego, kolejne mini-wykłady o maxi-sprawach, mają wyraźny socjologiczno-filozoficzny posmak.

Zachęca do tego literacki pierwowzór, będący oryginalną przypowieścią o tym, jak zabawa w demokrację kończy się niezabawną pod każdym względem dyktaturą. Takie studium ludzkich zachowań w wyznaczonych okolicznościach celujące w kilka fundamentalnych dla naszej kultury mitów: szlachetnego dzikusa, niewinności dziecka i umowy społecznej jako fundamentu państwa. Wspomniane zaś okoliczności w większym skrócie wyglądają następująco: na wyspie, jak to bywa, bezludnej w wyniku katastrofy lotniczej znalazła się grupka chłopców od kilku do kilkunastu lat. Żadnych dziewczyn i żadnych dorosłych. Kiedy i skąd w tej przykrej sytuacji czekać na ratunek – nie wiadomo. Pozostaje rozejrzeć się dookoła i zacząć budować wszystko, czytaj całą cywilizację, niemalże od podstaw. Tu i teraz. Żeby przetrwać. Wychodzi to różnie. Mówiąc wprost – wychodzi tragicznie. Zapowiedzią klęski staje się koncha, będąca w książce symbolem równości i cywilizacji, w spektaklu zamieniona na malusienką trupa czaszkę. Być może należy ona do kogoś z poprzednich mieszkanców wyspy, którym też niezbyt się powiodł eksperyment ze społeczeństwem otwartym.

Przekładając tę przypowieść na język teatru, Grzegorz Grecas wyraźnie dystansuje się od pierwszych z brzegu, najbardziej wyświechtanych tropów i skojarzeń. Żadnego piasku, słońca, palm i innej schlebiającej stereotypom robinsonowskiej egzotyki. Żadnego też wraku i śladów po katastrofie, które mogłyby wzbudzać niepotrzebne skojarzenia. Jednym słowem, żadnego serialu *Lost*, chyba że w ramach popkulturowo-postmodernistycznych żarcików. Zamiast tego wszystkiego – funkcjonalny minimalizm. Wszystko, co pojawi się w trakcie przedstawienia na zaimprovizowanej scenie, znajduje się na niej od samego początku. Reguła ta, w wersji „wszyscy”, dotyczy też aktorów. Wyspa natomiast została zaznaczona ulóżonymi wokół ubraniami. Widzimy stopy koszul, spodni i tego wszystkiego, co zostanie po splądrowaniu kilku starych, nieikeowskich szaf. Starych, bowiem kostiumy, zarówno te będące częścią scenografii, jak i te, które dostały się naszym bohaterom, mają rys bliżej niesprecyzowanej, dość umownej przeszłości. PRL-owskie pięćdziesiąt odcieni szarości skrzyżowano tu z elegancją birminghamskich gangsterów lat dwudziestych. ubiegłego stulecia. Poza tym – pusta przestrzeń i siedzący na wyciągnięcie ręki widzowie. Kolejne magiczne przeobrażenie Sali Teatru Laboratorium.

Agnieszce Nasierowskiej, która w roli dramaturżki współpracowała z Grecasem przy *#enterorestes*, udało się „zmniejszyć” tłum chłopców do: dowódcy Ralfa (Przemysław Furdak), jego wiernego adoratora i pomocnika Prosiaczka (Adam Michał Pietrzak), samolubnego i ambitnego Jacka (Jerzy Górski) oraz Simona, który okazuje się być Simoną (Paulina Mikuśkiewicz). Pracę z tekstem śmiało można zaliczyć do jednego z największych atutów przedstawienia, bowiem ta czwórka w zupełności wystarczyła, żeby zachować ruchliwą siatkę konfliktów, napięcie i układów. Pozostałych, jak chociażby całe wojownicze plemię Jacka, sprytnym i całkiem teatralnym sposobem zredukowano do paczuszki zapalek. Scena, w której przechodzący wewnętrzną przemianę wódz „dostarczycieli mięsa” skarży się owym zapalkom na zagrożenie ze strony Ralfa, uznałbym za jedną z najbardziej sugestywnych. Przy tym wszystkim, jak na teatr powołany przez absolwentów Wydziału Łalkarskiego PWST we Wrocławiu z Grzegorzem Grecasem na stanowisku reżysera przedstawienie zadziwiająco mało czerpie z możliwości formy. Zbyt mało, zważywszy na to, iż możliwości te są niemal nieograniczone. Miałem niejedną już okazję przekonać się o tym podczas organizowanych przez tenże wydział festiwalu. Trochę mi zabrakło tego zaskakującego „ożywiania” rzeczy „martwych”. Kilka takich teatralnych tricków, w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu, mogłoby wprowadzić nieco więcej „interpunkcji” do niektórych spektaklowych „zdań”.

Piątą postacią, narratorem, mistrzem ceremonii, nauczycielem, który śledzi przebieg kolejnych lekcji, stał się tytułowy Władca Much (występujący gościnne Kacper Pilch). Obszarpany i poturbowany, niechlujnie i w pośpiechu obandażowany, niczym po zbyt bliskim spotkaniu z drapieżną częścią lokalnej fauny, znajduje się w samym centrum tej opowieści, będąc jednocześnie na zewnątrz. Jego ciało targane jest niekontrolowanymi impulsami, jak gdyby wypełniały je żmije. Krąży między przybyszami, niczym martwy między żywymi, niczym duch. Aranżuje swój mały eksperyment. Podszeptuje, zaczepia i prowokuje, chociaż wierni „uczniowie” całkiem nieźle sobie radzą i bez niego. Ten bezwładny władca to zdecydowanie najbardziej skomplikowana i wymagająca kreacja spektaklu.

Władca Much został napisany na początku lat pięćdziesiątych. Od kilku lat istniało już NATO. Rok po wydaniu książki powstał Układ Warszawski. Ruszył wyścig zbrojeń między ZSSR i USA. Półwysep koreański został już podzielony na północ i południe. Kilka lat później historyczny mur przepołowił stolicę Niemiec. Wydawało się wtedy, że świat znów stoi na krawędzi i patrzy w otchłań, która – zgodnie ze słynną sentencją Nietzschego – po jakimś czasie zacznie odwzajemniać to spojrzenie.

Podobna praktyka historyczna niewątpliwie zmuszała do rewizji wszelkiej dotychczasowej teorii. Świat po raz kolejny przyswajał starą sokratejską naukę o tym, że nic nie wie. W szczególności, nie za bardzo wie, jak to się tak naprawdę dzieje, że w wyniku demokratycznych wyborów władzę dostaje Adolf Hitler. A kiedy, za cenę milionów ludzkich istnień, „rządy dusz” zostają mu odebrane, zamiast nowego wspaniałego świata z plakatów i billboardów patrzy na nas kolejny Wielki Brat i zbliża się A. D. 1984. Czy rzeczywiście wystarczy, aby obok Kaina pojawił się jakiś Abel, żeby nieuchronnie doszło do zbrodni? Książka nie daje łatwych odpowiedzi, lecz po sześćdziesięciu latach postawione przez nią niewygodne pytania, znowu nabierają niepokojącej aktualności. Paralele są w miarę oczywiste. Mamy Krym, Donbas, Syrię, Państwo Islamskie. Dziennikarze już zdążyli strzepnąć kurz z określenia Zimna Wojna. Ba, za sprawą Donalda Trumpa wkrótce będziemy mieć „berliński” mur na miarę naszych, niespokojnych, emigranckich czasów.

„Z historii narodów możemy się nauczyć, że narody niczego nie nauczyły się z historii” – ze smutkiem mógłby powtórzyć swoją sentencję Hegel, który, nawiasem mówiąc, uważał, że historia skończyła się jeszcze w czasach napoleońskich. Podobne przemyślenia, przynajmniej u mnie, wzbudzało przedstawienie, zanim reżyser nie postanowił skrócić w zupełnie inne obszary refleksji społeczno-etycznej. W pewnym momencie teatralna iluzja zostaje zachwiana i zburzona. Aktorzy zrzucają z siebie role, nie kryją się więcej za odgrywanymi postaciami, czego symbolicznym wyznacznikiem staje się wypowiedzenie na głos swego prawdziwego imienia. „Nie jestem Prosiaczkiem, tylko...”, „Nie jestem Ralfem, tylko...” – dalej, każdy opowiada króciusienką historyjkę z własnego dzieciństwa. Smutną anegdotkę o bezsensownym, niewytłumaczalnym okrucieństwie i o przemocy, których świadkiem był w beztroskich, wydawałoby się, szkolnych latach. Nie ukrywam, podobne moralizatorstwo na pograniczu szantażu emocjonalnego, dla sporej części publiczności stało się niejakiem zaskoczeniem. Dla mnie też. Jednak ocenić podobne rozwiązanie jest dość trudno. Zresztą, czego twórcy nie ukrywali, było ono podyktowane zadeklarowaną chęcią dotarcia do młodzieżowej widowni.

Przedstawienie *Wszyscy=bogowie we krwi* przystosowano do publiczności licealnej – do tych porzuconych nieco przez współczesny teatr nastolatków. Z drugiej strony, dlaczego w ogóle mielibyśmy przekładać dość ogólnikowe dywagacje na temat źródeł i dynamiki konfliktów społecznych nad bardzo konkretny problem przemocy w klasach szkolnych? W jednej ze scen został on zdefiniowany jako „problem schowanych do kieszeni rąk”, swoista podwórkowa odmiana biblijnego gestu Piłata. Kto wie, być może w głębi tych kieszeni, tam, gdzie ukryte dłonie szukają bezpiecznej obojętności, rodzi się większość światowego zła. Bajeczna poezja chłopięcej kieszeni z wiersza Leopolda Staffa zbyt łatwo zamienia się w tragiczną prozę, bowiem nawet na wyspie człowiek nie staje się wyspą i tu też dzwon bije każdemu z nas bez wyjątku. Szczególnie, gdy dzwonnikiem jest Władca Much.

22-02-2017

Teatr Układ Formalny
Agnieszka Nasierowska
Wszyscy=bogowie we krwi
na motywach *Władcy much* Williama Goldinga
reżyseria: Grzegorz Grecas
scenografia: Alex Aleksiejczuk
obsada: Przemysław Furdak, Jerzy Górski, Paulina Mikuśkiewicz, Adam Michał Pietrzak, Kacper Pilch (gościnnie)
premiera: 27.11. 2016

TAG: Grzegorz Grecas, Wrocław, Teatr Układ Formalny,

Udostępnij

SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:
dwa plus trzy jako liczbę:

▶

KOMENTARZE (0)

POWIĄZANE TEATRY

Teatr Układ Formalny



PRZECZYTAJ TEŻ



Magda Piekarska
Szarzy ludzie, krwawy los



Henryk Mazurkiewicz
Polski Awinion



Miroslaw Kocur
Totus mundus agit histrionem



Łukasz Drewniak
Kolonotatnik 30: W garści



Miroslaw Kocur
Efekt motyla



Henryk Mazurkiewicz
Tragiczny dylemat

KALENDARIUM



Festiwal Szekspirowski XXVIII edycja

BĄDZ NABIEŻĄCO

